

*Oto starymi uczyniłeś dni moje. Przemijają,
A jak się to dzieje, nie wiem...*

(Św. Augustyn, *Wyznania*)

Jest rok 2007. Lata minęły, zmienił się kraj, ustrój, moje życie. Zmienił jego rytm. Dawniej wydarzenia następowały szybko po sobie, ciągle przeżywałem coś innego, a teraz linia życia stała się ciągła, leniwa. Pewnie i ja jestem inny, no – trochę inny. Najważniejsze – starszy. Od pasa w górę jeszcze wszystko jest dobrze, ale nogi nie chcą funkcjonować, lekarz każe jeździć na rowerku, mam teraz w domu taki, ale czy to pomoże? Jestem sam. Guteńka zmarła dziewięć lat temu i wciąż trudno mi się z tym pogodzić. Ostatnie lata z nią były piękne, ważne. Stałem się jej potrzebny, przestała chodzić, trzeba było ją umieścić w Domu Opieki w Łomiankach. Odwiedzałem ją niemal codziennie, to ją radowało, do innych pensjonariuszy przyjeżdżano rzadko, a ja byłem zawsze do jej dyspozycji. Kiedy tylko sobie czegoś życzyła, mogła mieć pewność, że jej to następnego dnia przywiozę. Jadąc do niej, cieszyłem się, że się zobaczymy. Byłem potrzebny i spłacałem swą winę lat „osobnych”, kiedy to ja miałem swoje zainteresowania, swoich przyjaciół, a ona w „Mazowszu” swoich. Sam ją na to „Mazowsze” namówiłem, wiedząc, że pomoże Tadeuszowi Sygietyńskiemu. Ale ja, choć zaangażowany w tworzenie Zespołu, byłem w istocie w Państwowym Instytucie Sztuki. Tam znalazłem interesującą mnie pracę, przyjaciół, kolegów, historyków sztuki, krytyków, ona jednak tkwiła bez reszty w „Mazowszu”.

O świcie wyjeżdżała do Karolina, wracała z Mirą Ziemińską około północy. Do Zespołu przyszła dyrektorka promienna, młodziutka. Mira miała już wtedy życie za sobą, tysiące zmarszczek, ale gdy Guteńka się zestarzała i zniszczona pracą odeszła, Mira była niemal taka sama jak na początku. Fenomen. Bezlitosna dla tych, których uznała za wrogów. Ja starałem się jej i Tadeuszowi pomagać, ale dla Gusti „Mazowsze” to było całe życie. Zapewne i kompensacja niedostatków naszego związku. Nie ciekawiły jej problemy, którymi żyło moje środowisko, źle się w nim czuła, mnie natomiast nie interesowały jej kłopoty. Żyliśmy obok siebie, choć razem. Ale wiedziałem, że jest mi bezgranicznie oddana, i za to byłem jej nieustannie wdzięczny. Miałem oczywiście w życiu różne fascynacje, ale zawsze ze świadomością, że ona jest najważniejsza, jedyna. Łączyła nas też miłość do dziecka. Ja miałem Oleńkę wciąż koło siebie. To było moje szczęście. Do dzisiaj. Jestem od niej uzależniony, jest bowiem najpiękniejszą, najbardziej atrakcyjną kobietą. Dla Guteńki była wszystkim, sensem istnienia, radością. Podróżując po świecie z „Mazowszem” wierzyła, że zapewni jej lepszą przyszłość. Ciągłe o niej myślała, w czasie długich półrocznych podróży; dla niej kupowała sukienki, lalki, prezenty, rekompensując tym swą tęsknotę. Żyła z myślą

ALEKSANDER JACKOWSKI

Na skróty. Posłowie*

o niej, dla niej. Ale z daleka, ja natomiast byłem zawsze z małą. Do chwili gdy stała się duża i pewnego dnia oświadczyła z powagą: tato zakochałam się. On ci się będzie podobał, jest taki dobry, niezaradny...

O Boże! zmartwiłem się, przecież wołałbym, by to był ktoś, kto zapewni jej przyszłość. A czy historyk, archiwista, nawet rokujący wielkie nadzieje takim będzie? Okazało się, że tak, i nie tylko w kraju, ale i za granicą. Zostałem sam. Ola, Marynia i Ania, urodzona tuż przed odejściem Gusti, mieszkały kilka lat w Budapeszcie, a obecnie są w Wiedniu. Leszek kieruje jakimś wydziałem i departamentem ONZ-owskiej instytucji. Cudownie, ale czemu tak daleko? Marynia zajmuje się filmem, jest w Londynie, na 3. roku studiów w Westminster University. Jest mądra, śliczna, i nie dziwię się Sławomirowi Idziakowi, że przyjął ją jako asystentkę przy kręceniu filmu o Harrym Potterze.

Ale ja jestem sam, to straszne, wszystko więc robię, by się samotności nie poddać. Kiedy mogę, telefonuję do Wiednia, jeżdżę, albo tu ich witam, kiedy Ola z Anią przyjeżdżają, by uczestniczyć w jakiejś mojej imprezie, wystawie czy promocji książki. Ciągłe jednak coś tracę, Ania tak szybko staje się panienką...

Od roku mieszkam w małym, ślicznym mieszkaniu, wreszcie ciepłym, z kaloryferami, z częstką książek, papierów, pamiątek. Przyjaciele dziwią się, że nie żałuję tego, co zostawiłem. Z czterech pokoi są tylko dwa, do tego rzeczy po kradzieży... Właśnie, po śmierci Guteńki pojechałem do Wiednia, a w tym czasie moje mieszkanie, a także Leszka i Oli, okradziono. To dziwne wrażenie. Upokorzenie. Stos rzeczy, papierów, książek rzuconych na podłogę, oblaných jakąś cieczą, by zmylić węch psa. Zabrano najcenniejsze książki Leszka, heraldyczne z XVII, a chyba i XVI wieku. Pokazywał je chętnie gościom zebranych na posiedzeniu towarzystwa heraldycznego, no i włamywacz wiedział co, z której półki i szafy zabrać. Skradł także pamiątki po Bolesławie Prusie, rzeźby mojego stryja Stanisława, zadziwiający obraz *Raj* Adama Herszafta, przyjaciela Oj-

* Posłowie przygotowane do drugiego wydania książki Aleksandra Jackowskiego *Na skróty*

ca, jedno z najważniejszych dzieł sztuki żydowskiej. Złodziej czytał moją książkę *Sztuka zwana naiwną*, zabrał więc wszystkie obrazy i rzeźby reprodukowane w książce, niestety z adnotacją, że to z moich zbiorów. Skradł obrazy – podpisane przez darczyńców: Kobdeja, Tadzia Brzozowskiego, Tadeusza Kantora. Na szczęście ich nie podpisał! Jestem nerwusem, cholerykiem, ale w tej sytuacji udawałem nawet przed sobą, że mnie to wcale nie załamuje.

Nawet spałem na tych zgłiszczach, a w dzień pisałem, jak zawsze. Ale to był spokój pozorny, w istocie cios, który załamuje. Nie miałem siły, ochoty, by oba mieszkania uporządkować, uciekłem w codzienną pracę, na szczęście pokój, ten Guteńki, uporządkował mój młody przyjaciel Alik Korulski. A ja, jak gdyby nic, nawet nie przestałem się kłaniać moim sąsiadom, którzy wszystko słyszeli, ale i policji, i mnie nie zawiadomili. Sąsiadka, staruszka, bała się zatelefonować do policji, ona jedna miała telefon i się bała. No, można ją zrozumieć, ale sąsiadów z dołu? Tchórz, żyjący mitem powstania warszawskiego, kłamiący nawet przed sobą. Bał się. Panicznie...

Policja zajęła się szukaniem włamywaczy, „mój” inspektor był bardzo miły, zadzwonił kiedyś do mnie – panie Aleksandrze! radosna nowina. No jaka? Coś się znalazło? – Ach nie, nie, ale sam minister Borusewicz dzwonił, pytając o sprawę. – I co, ucieszyłem się, to pomoże? – Ale skąd! zasmucił się policjant. Przecież wie pan, komputer mamy zepsuty, kserograf na trzecim piętrze, samochód – sam pan wie, jaki jest... No i wkrótce zamknęli śledztwo.

Wkrótce przeprowadziłem się, właścicielka zwiększyła komorne, a mieszkanie zimne – kaflowy piec w pokoju, a hol, łazienka, kuchnia nieogrzewane. Szczęśliwie Oleńka zauważyła w Internecie anons – mieszkanie 2-pokojowe, w tej samej dzielnicy, ten sam przystanek, sklep, na 3. piętrze, w domu 6-piętrowym. To dom, w którym mieszkają moi rodzice – ucieszył się Leszek. Zadzwonili, ojciec Leszka umówił mnie z panem, który wyremontował lokal dla swej ciotki, która jednak wolała zostać w Australii. Piękne! Zachwyciłem się, kiedy zobaczyłem czyste, ładnie wymalowane mieszkanie. No to właściciel podniósł cenę, o kilka tysięcy. Po co to powiedziałeś, zrugła mnie Oleńka. Bo było piękne!

Przyjaciel pomógł, mam oszkloną bibliotekę. Ola pracowała w dzień i w nocy, by przenieść z całego dobytku to, co ważne, co jest mi potrzebne. Ale wtedy uświadomiłem sobie, że w istocie nic, niewiele mi trzeba. Papiery? Ponieważ mogą się przydać do pracy – ale jakiej? Listy? Kto je przeczyta, znajdzie na to czas... Guteńka miała cały dom, rzeczy przez lata gromadzone, nieodzowne, no i w ciągu jednego dnia znalazła się w Domu Opieki. Szuflada w szafie, stolik przy łóżku i fotografie Oleńki, Maryni, Ani. Tylko to było ważne. Zostało z całego życia. Znam to. Na Syberii też miałem tylko fotografie rodziców, jedną książkę – Ewangelię.

Leżę teraz na tapczanie, patrzę, tak tu pięknie. A co mi do życia naprawdę potrzebne? Niewiele, w istocie tylko pamięć. To, co ją uruchamia, listy, zdjęcia, kilka książek. A więc powrót do przeszłości, do tego, co było, co zrobiłem dobrze, źle, przeoczyłem, zaniechałem. O Boże! Mogłem być inny, stworzyć sobie inne życie. Czy lepsze? Nie, chyba nie...

Walczę z tą swoją pamięcią, walczę o prawdę, ale ona dawkuje mi ją jak lekarz – terapeuta. Chroni od wspomnień złych, przykrych. Żadnych wyrzutów sumienia... Zmuszam się (!) by wydobywać z pamięci sceny, gdy byłem niedobry dla Gusti, zostawiłem płaczącą Jovankę w Belgradzie, nie uratowałem Niemki, jeszcze dziewczynki, przed bestialstwem sowieckich żołnierzy, przejechałem psa, który wypadł na szosę.

A jak ocenić życie? Zobaczyć je z perspektywy czasu. Przecież przez lata zajmowałem się tym, czego nie znałem. Najpierw robiłem, później uczyłem się. Taki świat na opak. Role w życiu, jak w teatrze. Nie swoje. Na Syberii, w wojsku, po wojnie. Dopiero w redakcji byłem na swoim miejscu, przynajmniej tak sędzę.

Teraz, gdy to piszę, panuje moda na lustrację. Ale jaką? Tylko z zewnątrz. To komuna *à rebours*. Nikt nie może być spokojny, nikt nie wie, co się znajduje w aktach, które gromadziła Służba Bezpieczeństwa. Przecież te akta to kloaka, donosy, prawdziwe, ale i wymyślone, w istocie nie do sprawdzenia. Wymagające interpretacji. Choćby taka sytuacja: Ludwig Zimmerer (o którym napiszę za chwilę), przyjmował do pracy sprzątaczkę, kucharkę, kierowców. Każdy był wzywany do Urzędu Bezpieczeństwa, musiał podpisać zobowiązanie, że będzie donosił. I co? Natychmiast mówili o tym Zimmererowi, a on pocieszał, zapewniając, że będzie im pisał, kto był na koktajlu. A dzisiaj są to „tajni współpracownicy”, „osobowe źródła informacji”.

Prawdziwa lustracja jest w nas. Teraz we mnie, gdy przypominam sobie dawne lata. Więc zastanawiam się – kim jestem? Osobowe źródło informacji? zły? dobry? Do wczoraj żadnych skrupułów nie miałem, nie donosiłem, nie wyrządziłem nikomu krzywdy, ale okazuje się, że źle walczyłem, nie w tym wojsku, w którym powinienem, nie na tym froncie, na jakim należało. Nawet nie w tej sprawie, co trzeba. Myślałem, że walczę z Niemcami, o Polskę, a okazuje się, że chciałem zsowietyzować kraj. Order mam też podejrany, od komunistów. Może mi go odbiorą? Może odbiorą i tego pułkownika, którym mnie przed kilkoma laty mianoowano. Nawet bym się nie dziwił, bo ta nominacja wydała mi się humorystyczna. Sam pomyśl mnożenia stada kapitanów, majorów, pułkowników w stanie przedzawałowym. Wręczenie wyglądało zabawnie. Do budynku komendy uzupełnień zaproszono co najmniej setkę osób. Starcy, kulawi, ledwie włączający nogami w asyście małżonek, odświeżni ubrani – ci spod Monte Cassino i ci spod Lenino – jeszcze przed lustracją, wszyscy razem. Usiedliśmy w świetlicy, miejscowi

pułkownicy przebiegali co jakiś czas korytarzem, wreszcie jeden z nich powiedział: przyjeżdża ekipa kontrolna, proszę wyjść, świetlica jest potrzebna. Powędrowaliśmy na schody, po jakimś czasie poprosiła mnie siwa urzędniczka. Sprawdziła nazwisko, wpisała do książeczki oficerskiej nominację, no, tak zostałem pułkownikiem.

Pisanie wspomnień to też forma autolustracji, zastanowienie się, w co i dlaczego wierzyłem, w co się angażowałem. Niestety, złudzeń nie cofnę, życia nie zmienię, mogę je tylko opisać, bo nawet nie wytłumaczyć. Czy jestem jednak dziś mądrzejszy, bardziej rozważny? Pewnie tak, ponieważ mam mniej sił i ochoty na ryzyko. Nie wiem jednak, czy doświadczenie życia otwiera na nie oczy, czy też ogranicza zdolności poznawcze.

Mam przyjaciół. To bardzo ważne, dawnych i nowych. Ale przyjaciół się nie wybiera. Ich się dostaje. Jak dar. Stajemy się sobie potrzebni, gotowi jesteśmy na wyrzeczenia, coś się kształtuje – więź? uczucie? odpowiedzialność? Jakiś podtekst seksualny?

Jadwigę Jarnuszkiewiczową poznałem w pociągu, wracaliśmy z sesji naukowej, a z Krakowa jechało się wówczas wiele godzin, wystarczająco, by się zaprzyjaźnić. Od tego czasu jej dom stał mi się szczególnie bliski, tam spotykałem ciekawych ludzi, tam zaprzyjaźniłem z fascynującym artystą, rzeźbiarzem, grafikiem, medalierem – jej mężem, Jerzym. Ciął znakomite ekslibrisy, wyrażające istotę modelu, znak człowieka. Taka psychologia ilustrowana, ale jak! Rzeźby Jerzego mnie poruszały, najciekawsze były Aliny Szapocznikow, ale on mnie parę razy zapraszał i prosił o wyrażenie swej opinii. Mnie? To znaczy nikogo, przecież dopiero przy nim, przy Jadwidze kształciłem swą wrażliwość. Zachwycił mnie prymityw, rzeźby ludowe, eskimoskie, Cyklady, ale Jerzy pytał, pokazując realistyczną kompozycję lepiącą w glinie, co o niej sądzę. A może tę rękę lepiej będzie podnieść? Nie wiedziałem, ale by uczestniczyć w rozmowie, powiedziałem – może. A on już oderwał ją i inaczej ustawił. Zaklepał. Lepiej? Speszony coś bąknąłem, płonąć ze wstydu. Cóż ja mu mogłem doradzić? Ale przy nim, przy Jadwidze uczyłem się, rozszerzałem wyobraźnię, coraz lepiej poznając rzeźbę ludową. Zwłaszcza dużo mi dała współpraca z nią przy albumie *Sztuka ludu polskiego* (1967). Jadwiga, by mi pomóc, została sekretarzem redakcji „Polskiej Sztuki Ludowej”. Wykorzystywałem to bezwstydnie, odciągając ją od zajmowania się rzeźbą a przecież była najlepszym znawcą i jej teksty przekonywały precyzją sądu, sformułowań. Ale ile za to płaciła! Pisanie to było pasmo udręki, walka o doskonałość, precyzję sformułowań, okupione dziesiątkami papierosów, środków podniecających, nasennych. Obłąskawiła doktora, dyktując mu, co powinien zapisać (podobnie robiła to Guteńka). Skończyło się tragicznie, marskość wątroby i śmierć. A dawała z siebie masę, zwłaszcza studentom rzeźby i w galerii *Repassage*. Jej zawdzięczam piękno albumu. Komponowała ilustracje,

które jej dawałem. Trzy lata pracowaliśmy, dążąc do tego, by najlepiej pokazać obiekt. Zwłaszcza rzeźbę. Bywało, że ją fotografowaliśmy tak długo, aż osiągaliliśmy pożądaną efekt. Te czarno-białe zdjęcia są piękne, ciekawsze niż barwne, w późniejszych moich książkach. Niemal wszystkie są dziełem Jana Świdorskiego, fotografa w Instytucie Sztuki.

Dzięki radom Jadwigi mądrze fotografował rzeźby. Wiele razy prosił go o ponowne zdjęcie, inne ustawienie. Były rzeźby niepokorne, które nie chciały być sfotografowane. Zbuntowane. Do Frasnoliwego w Rabce jeździło kilku fotografów, Janek trzy razy. Kiedy wrócił, powiedział z zadowoleniem: „no teraz, szefie, złego słowa nie powiesz”. Nie musiałem... Kiedy wyjmował film otworzył kasetę tak, że go przeświecił. W albumie znalazły się więc zdjęcia tej rzeźby zrobione przez Andrzeja Wróblewskiego. (Też się z nią męczył).

Janek był zawodowym fotografem, ale o etnografii wiedział więcej niż studenci, czytał, brał udział w ekspedycjach, dokumentujących sztukę ludową, a także pomagał mnie. Powiedzieć o nim, że był „oddany” profesorowi Reinfussowi i mnie, to mało. On żył naszymi sprawami, lojalny, pomocny. Wykonał ponad 100 tys. zdjęć, nieraz w karkołomnych pozycjach, oczywiście płacąc za to złamaniami. Niestety, Instytut nie miał dźwigu, nawet drabiny. Między nami toczyła się gra, zawsze ta sama. Ja prosiłem – zrób to czy tamto. Na kiedy? Na jutro. Nie mogę, mam masę pracy, weź innego fotografa. Udawałem zmartwienie. Mówiłem, no tak, ale nikt mi tych rzeźb nie robi tak jak ty. Wzruszał ramionami, że nic nie poradzi. Dobrze, godziłem się, to kogo wziąć? Kaźmierskiego? Każdy dobrze ci zrobi... No to go zaraz poproszę... Wtedy przerywał mi – poczekaj... zastanowię się. Wiedziałem, że sprawa jest załatwiona, po kilkunastu minutach przychodził – no, to ja to zrobię... Dziwiłem się, dziękowałem. I ta scena powtarzała się raz za razem. Przez kilkanaście lat...

Jemu dawała satysfakcję, wiedział, że jest potrzebny, niezastąpiony. Przynajmniej dla mnie, dla nas w redakcji. I był! On pierwszy czytał wydrukowany numer, ja drżałem, on marszczył brew i szturchał palcem tekst – błąd! Jak mogłeś. Kiedy umarł – czegoś w redakcji zabrakło. Właściwie nie bardzo mi się już chciało myśleć o piśmie...

Redakcja i Instytut pozwalały na zajmowanie się różnymi aspektami twórczości nieprofesjonalnej, ludowej, naiwnej, psychopatologicznej, surowej – *art brut*. Patrzyłem jak socjolog kultury, trochę jak psycholog, etnolog, a nawet filozof. Ale naprawdę przejmowała mnie sztuka dawna, ta, od której życie mnie odsunęło. Ona mnie formowała. Ona, dzięki której, podobnie jak muzyce Mozarta i Bacha, przeżyłem Syberię. Pamięć, reprodukcje, obcowanie z tą sztuką w muzeach stały się dla mnie zarówno lekcją wrażliwości, jak i siłą napędową. Każdy może mieć w sztuce swój wybór, to tak jak

z urodą, jedno dzieło nie musi być od innego lepsze czy gorsze. Ważne, że jest „moje”, jak Velasquez, Goya, El Greco z Prado, Rembrandt z Ermitażu. Ile wzruszeń... Ostatnio, w Wiedniu w Kunsthistorischemuseum Oleńka wozila mnie inwalidzkim wózkiem! Wzruszenie, drżenie serca. Jadę, wiem, że teraz, tam na lewo będzie mój ukochany Vermeer. Siedzę, wpatruję się, żyję tym obrazem. Tam jego autoportret, a w St. Petersburgu, w Ermitażu, wzrusza mnie Rembrandt *Powrót syna marnotrawnego*. Jak to jest malowane! Jak przedstawione! Są obrazy i rzeźby mistrzowskie, ale ważne znaleźć coś, co nas z nimi połączy, taki naddatek, duszę przedmiotu. Ale ta dusza bywa także w fotografii. Nie zapomnę nigdy Chopina ze znanego dagerotypu – umęczonego, bolesnego, nie zapomnę przerażającej kopalni złota – wielkiego mistrza fotografii Salgado. Obraz piekła ludzkiego!

Niestety, los inaczej pokierował moim życiem, że tylko tęsknota została za historią sztuki, teatrem, reżyserią. Zostało zainteresowanie sztuką ludową i współczesną. Ludową – ze 300 artykułów, ze współczesną kilkanaście tekstów o rzeźbie, Józefie Czapskim, Marku Żuławskim, o Jerzym Jarnuszkiewicz. Sztuka ludowa ciekawiła mnie jako fenomen socjologiczny, choć znajdowałem w niej także rzeczy piękne, wzruszające, dające satysfakcję estetyczną. Myślę tu choćby o pięknie form garnków, niezmiennej od wieków, o dawnych haftach walutowych, czy z Podegrodzia, strojach kobiet z Biłgoraja, architekturze, a więc o sztuce związanej z tradycją, doświadczeniem pokoleń. Z ludowej rzeźby bliska jest mi dawna, kapliczkowa. Często niepokorna, niezdana, więcej mówiąca o twórcy niż o regionie. Ta rzeźba, której profesor Frankowski nie chciał uznać za ludową sztukę. Więcej w niej bowiem indywidualnej inwencji, buntu niż tradycji. Ludowym artystom poświęciłem wiele lat pracy. Jeździłem do nich, pomagałem, kiedy mogłem. Szanowałem ich, i kiedy mogłem, starałem się dać temu wyraz.

Kiedyś zadzwoniono do mnie z komisariatu policji, zatrzymali człowieka z workiem drewnianych ptaszków, powołuje się na mnie, twierdząc, iż jest artystą ludowym. Potwierdzałem. Wtedy go wypuszczali. Dyplomy twórców ja podpisywałem, to też na mnie się powoływali. Kiedyś przyszedł do Instytutu stary już człowiek, speszony, widać było, że źle się czuł w tym pałacowym wnętrzu. Pytam go, o co chodzi, w czym mógłbym mu pomóc. A on, że musi ze mną w cztery oczy porozmawiać. Siadamy w gabinecie, on nic nie mówi i wkłada mi w stos pism na biurku kopertę. Co pan! A on, że dwa razy mu pomogłem. To moja praca, tłumaczę, on się robi czerwony, coś majstruje w kieszeni... wkłada drugą kopertę. Grubszą... Więc ja mu znowu tłumaczę, żadnych „podziękowań”, to moja praca, on – że zaprasza na koniak, itd. W końcu płacze, więcej już nie ma. Ściskam go, jest mi strasznie przykro... na to on, z płaczem, siedemdziesiąt lat żyje

i zawsze musi miastowemu coś dać. Jezu! w jakim kraju żyjemy... To bardziej bolesne niż afera Rywina.

Wielu tak zwanych twórców ludowych poznałem dzięki Ludwigowi Zimmererowi. To była niezwykła postać w naszej kulturze. Bardzo ważna. Dziwny Niemiec, ciepły, serdeczny, uśmiechnięty, mówiący cicho, nie jak to jego rodacy mieli w zwyczaju, hałaśliwie, bezczelnie. Wszyscy mieliśmy w tamtym czasie, po wojnie, niechęć do Niemców. On go przełamywał.

W czasie wojny był sanitariuszem, potem wydawał pismo pacyfistyczne, o religijnym podtekście, anarchistyczne. Pisał sam artykuły, składał, drukował i sprzedawał na ulicach. Wstydził się swej niemieckości, miał poczucie winy i dlatego chciał przyjechać do Polski, która tyle wycierpiała. Boże! Czemu ja się urodziłem Niemcem, bił głową o ścianę. W 1956 r. wypuszczono z więzienia Gomułkę. Wtedy przed Pałacem Kultury zgromadził setki tysięcy ludzi. Wierzyli, że uchroni kraj przed komunizmem. Zimmerer też uwierzył. Przyjechał natychmiast, nie znając języka, jako korespondent „Die Welt” i trzynastu rozgłośni radiowych. Zostawił niemiecką żonę i syna, wkrótce w Krakowie poznał, pokochał, poślubił Joannę Olczak. Wprowadziła go w krąg krakowskiej cyganerii, Piwnicę pod Baranami, której była jedną z inicjatorek. Lepiej nie mógł trafić. Język poznawał szybko, zresztą się nim posługując, często z dowcipem. Twierdził, iż jeszcze wtedy miał jasną wizję Polski. Ale tracił ją szybko, zdany na prasowe konferencje w Interpressie i MSZ. Jaki był naprawdę ten kraj? Jak przeżył okupację? Przypadek sprawił, że zobaczył w Czepeli rzeźbę *Pożegnanie z żoną przed pójściem do gazu*. Pojechał do autora, Wacława Czerwińskiego. Odtąd wiedział, że od ludzi, rzeźbiarzy, artystów ludowych więcej się dowie o Polskę niż na konferencjach. Zaczął do nich jeździć. Wtedy go poznałem. Słuchał z niezwykłą uwagą, zapatrzonego w rozmówcę. Czuleś, że jesteś dla niego najważniejszy. To był dar wielkiego reportera, powiedziałeś mu wszystko, więcej, niżbyś chciał. Rozwinęła się wówczas moda na rzeźby ludowe, kupowali zwłaszcza Niemcy, jako pamiątki. Ale jego interesowali ludzie, artyści. Jeździł do nich po kraju, a wkrótce oni przyjeżdżali do niego. Kolekcja powstawała szybko, płacił dobrze, však otrzymywał pensję w dolarach, a te wymieniał na czarnym rynku. Początkowo ja jemu pomagałem, ale wkrótce on mnie informował o ciekawych artystach. Kolekcja po kilku latach liczyła 13 tys., zajęła cały dom, trzynaście pokoi i garaż. Obrazy wisiały na suficie, na podłodze, pod folią, na skrzydłach drzwi, w ubikacji. Umieszczał je z fantazją Marcin Brykczyński, późniejszy autor książek dla dzieci. W kolekcji pracowali etnograf, dwóch asystentów... Dzięki niesamowitemu zbiorowi dom Zimmerera stał się znany. Na piątkowe koktajle zapraszał różnych ludzi, od wicepremiera poczynając, filmowców, artystów, po nieznanego nikomu pana znakomicie opowiadającego o bitwie pod Saragossą, właściciela stoiska na bazarze Różyckiego.

O Polsce wiedział oczywiście więcej niż inni dziennikarze, angażował się w dyskusje polityczne, walkę o uznanie granicy na Odrze i Nysie. Pisał korespondencje dla rozgłośni radiowych, zawsze krótkie, kilkuminutowe. Celne, czasem trafiające w sedno problemu dowcipem. Pamiętam jedną, w czasie napięć między Państwem a Kościołem, prymasem Wyszyńskim a Gomułą. Dwa wściekle psy biegną po obu stronach siatki, gotowe się rozszarpać. Nagle widzą w siatce dziurę, chwila namysłu i znów wściekle ujadając biegną z powrotem. Kolekcja stała się pomnikiem do chwały. Gdyby nie ona, Ludwig nie poznałby elity kulturalnej kraju, nie stałby się postacią legendarną. Ale kolekcja stała się też kotwicą. Jak wyjechać do innego kraju? Przecież kolekcja należy (to zawsze podkreślał) do Polaków. Otrzymywał ciekawe propozycje – Meksyk, Paragwaj. Nic z tego, kolekcja wiązała go z Polską. Nastąpiły lata trudne. Niepokoje, stresy, spowodowane zarówno tym, co się działo w Polsce (stan wojenny), jak i w życiu osobistym. Joanna odeszła, nie wytrzymała stresów, które przeżywał, zawiedziony tym, co widział dokoła. Karina, którą poślubił, była ładna, efektowna, ale po kilku latach stało się dla niego oczywiste, że nic ich dobrego nie łączy. Postanowił przenieść kolekcję, ofiarować – ale nikt w Warszawie nie chciał jej przyjąć. Wyprowadził się z domu i zamieszkał pod Warszawą. Tęsknił do Joanny, widywał się z nią coraz częściej. Pertraktował z Muzeum Etnograficznym w Krakowie, które zapewniło, że da mu kamienicę na ul. Kanonicznej, będzie rozwijało kolekcję, a on zostanie jej kustoszem. Ale te projekty przerwała moja wizyta w Krakowie. Profesor Włodzimierz Hodys, spotkany na Rynku, powiedział, że byli u niego smutni panowie, pytali o Zimmerera, powiedzieli, że chce za ileś tam dziesiątków tysięcy dolarów sprzedać swe zbiory... Zapytany przeze mnie dyrektor Muzeum Edward Waligóra zmieszał się, przyznał, że kazano mu kolekcję przyjąć, a Niemca wyrzucić... W czasie stanu wojennego Kasię, córkę Ludwiga, aresztowano. Na domiar złego miał przyjechać wydawca, któremu Zimmerer obiecał książkę o Polsce. Oczywiście jej nie miał, ciągle pisał kilkuminutowe teksty i większa forma sprawiała mu ogromne trudności.

W nocy nastąpił udar. Leżał bez pomocy wiele godzin, mieszkał bowiem z dala od żony, pod Warszawą, u dr. Stankiewicza. Zabrano go do Niemiec, a gdy wrócił po wielu miesiącach – to już odmieniony. Siwy patriarcha o płomiennych oczach, skazany na pomoc rehabilitantów. Zabrała go do siebie, tak jak chciał, Joanna. Miał w sobie powagę śmierci, wyzbyty z wszelkiej próżności, wdzięku, kokieterii. Mądry. Przestała go interesować kolekcja, bliscy mu z niej byli tylko Roman Śledź i Józef Lurka. Poprosił Karinę o kilka ich rzeźb. Odmówiła! Nieprawdopodobne! Stał mi się wtedy jeszcze bliższy. Przyjechałem do niego, wychudł, nogę miał bezwładną, z trudem mówił jeden, dwa wyrazy. Pokazywał ikony w rozłożonych księgach, rysu-

nek postaci, różnice. Były tam też anioły średniowieczne i z kręgu kultury buddyjskiej. Zestawiał ilustracje ze sobą, wierząc, że zrozumie, o co mu chodzi. Unosił palec do góry – widzisz? Byłem wstrząśnięty. Ktoś powiedział – jego należałoby ubezwłasnowolnić... Jego? Który już był w wyższym kręgu wtajemniczenia.

Umarł. Pogrzeb miał się odbyć w Krakowie. W kościele zebrał się tłum ludzi, przyjaciele, znajomi, my z Warszawy i oto dowiedzieliśmy się, że Karina przysłała w nocy samochód po ciało z nakazem prokuratorskim wydania go prawowitej żonie. Kazała zderzeć ubranie (bo od Joanny) i założyć na trupa nowe, od niej. Krakowski grób został pusty. Po kilku dniach pochowano Ludwiga w Warszawie. Zaczęły się targi o dom, o kolekcję. Dziś dostępu do niej nie ma. Nawet nie wiem gdzie i... co z niej zostało.

Kolekcja początkowo była tylko zbiorem rzeźb zwanych ludowymi, później wzbogaciła się o obrazy naiwne. Rosła nieprawdopodobnie szybko, przybywały rzeczy świetne, muzealnej wartości, ale i takie, które świadczyły nie o sztuce, lecz o człowieku. Nieudolne, chociaż przejmujące, kicze ludowe, jarmarczne, obrazy perwersyjne, także obrzydliwe. Nigdy bym tego obrazu nie chciał mieć w domu, śmiał się Ludwig, ale w kolekcji jest potrzebny. Kryteria estetyczne przestały obowiązywać, kolekcja stała się muzeum człowieka, świadectwem tego, czym bywa twórczość dla człowieka. Podkreślam – twórczość, więc swoisty znak tożsamości, świadectwo przeżywanych koszmarów, wyzwalań się ze strachu, przezwyciężanie kalectwa. W „normalnym” muzeum słaby artystycznie obraz niewidomej kobiety nie miałby racji istnienia, ale tu stał się niezwykle ważny. Wiedzieliśmy o tym obaj, dlatego w rozmowach często pojawiał się pytanie – co dalej. Te tysiące obrazów i rzeźb stało się ważnym dokumentem człowieczeństwa, tego, kim człowiek jest i jak twórczość go zmienia, kształtuje. Jak oswoja z bólem, cierpieniem; jak uwalnia z lęku, jak uspokaja, czyni los znośnym. Każdy może stać się artystą, przekroczyć próg swych możliwości. Bywa, że malując, rzeźbiąc, czyni to podświadomie, angażując siły, o istnieniu których nie wiemy, nie myślimy. Wspaniałe w twórczości bywa przekraczanie możliwości, przez trud, wysiłek, pracę. Zaufanie intuicji.

W twórczości amatorów widzę dwa kryteria, jedno estetyczne – wzór, do którego się dąży, i drugie psychologiczne – przekraczanie progu swych dotychczasowych osiągnięć, możliwości. Dlatego buntuję się przeciw tylko „artystycznym” ocenom dzieł, przeciw konkursom i nagrodom dla amatorów.

Ludwig więcej wiedział o ludziach niż ja, lepiej umiał ich słuchać. Poświęcał wiele czasu na rozmowy, pamięć miał znakomitą, więc oczywiście było, że ja napiszę książkę o sztuce, a on o ludziach. Kiedy jednak odszedł, musiałem także tę jego część wziąć na siebie. I tak powstała książka *Sztuka zwana naiwną* (1995),

naprawdę ważna, coś dająca czytelnikowi. Powstała z setek moich zapisków, rozmów, wspomnień. Niestety, drukowano ją w Hongkongu, tam zostały klisze, a wydawnictwo upadło. O niektórych twórcach, a także problemach sztuki piszę w obecnie wydawanej książce *Talent, pasja, intuicja*. Ale nie jest to już opowieść o ludzkich losach, jak w *Sztuce...*, o tajemnicy życia, klęskach i wyzwoleniu, o sztuce, która przekracza bariery niemożności, kalectwa. Piszę w niej o potrzebie sztuki, o tym, co może dać „zwykłemu” człowiekowi, zwłaszcza temu wciąż sprawnemu, którego los skazuje na emeryturę, a więc na samotność. Samotność, do której nie jest przygotowany. Kiedy zostaje pustka. Coś więcej niż tylko brak środków do życia. Zostaje pytanie – co robić? Jak zagospodarować czas, energię. Odwołam się do bliskich mi przykładów. Mój ojciec zmarł pół roku po zwolnieniu go z pracy. Miał jeszcze wiele sił. A wuj? Władysław Kapon, dobry, szlachetny i fajtłapowaty. Był potomkiem Garybaldczyków, którzy znaleźli w Polsce nową ojczyznę. Jedyń, który w 40. rocznicę małżeństwa mych rodziców ofiarował mojej mamie podarek. Z ciotką Emilią łatwego życia nie miał. Miał pasję, która jej nie cieszyła – prenumerował gazety, do których dodawano zbroszrowane powieści, ale... nie czytał ani ich, ani gazet, ale je miał. Zwały numerów, zakurzonych, podpierały ściany. Kiedy we wrześnie bomba zniszczyła mieszkanie, pieczołowicie przenosił je do drugiej ciotki – Marysieńki – na ul. Śniadeckich. Po wojnie pracował jako księgowy, ale kiedy się zestarzał, podziękowano mu. Nie umiał sobie poradzić z nową sytuacją, gazety mu zabrano, nowych nie mógł zbierać. Najpierw chodził do swojej firmy, ale przeszkadzał w pracy, więc brał z domu stół i siadał na nim pod oknem swego biura, na chodniku. Zmarł po pół roku.

To ważne mieć cel, coś, o czym się myśli. Cokolwiek, malowanie, rzeźbienie, hodowanie gołębi, kwiatów, uprawianie działki, zbieranie kart pocztowych, znaczków. Taki cel życia wtedy, gdy przychodzi stres odejścia z pracy. Z racji swych zainteresowań stykałem się często z amatorami, widziałem, ile im może dać satysfakcji to, co robią. Jaka to radość ulepić dzbanuszek i dać sąsiadowi, namalować obrazek „jak żywy”. Czasem obraz bądź rzeźba dają poczucie spełnienia. Myślę, tu przede wszystkim o nieprawdopodobnych osiągnięciach ludzi niepełnosprawnych, obrazach malowanych pędzelkiem w ustach czy palcach stopy, rzeźbach lepionych przez ludzi niewidzących i niesłyszących. Każdy zdaje się przekraczać próg swoich możliwości. I wtedy jest wielki.

Jak trudno oceniać prace osób, których nie znamy, a więc nie wiemy, z jakim wysiłkiem są stworzone, jak wątpliwe wydają się w tej sytuacji nagrody, kryteria tylko estetyczne. Jak mogą być bolesne dla pominiętych... Przed laty odrzuciłem z konkursu niewielką rzeźbkę w drewnie przedstawiającą gen. Świerczewskiego. Było

to precyzyjnie rzeźbione, lakierowane, brzydkie. Zacydowaliśmy – żadna sztuka! Rzemiosło. A po kilku latach spotkałem za Gibami głuchoniemego we wsi nadgranicznej, w zupełnej głuszy. Miał niezwykle ręce, rzeźbił ptaki, zwłaszcza wróble, stawiał je na podwórzu i śmiał się, szczęśliwy, kiedy się na nie kot rzucał. To był jego triumf. Domysliłem się, że to on był autorem odrzuconej przeze mnie z konkursu pracy. Zrobiło mi się wstyd. Wspomnę też pierwszą moją przygodę z wystawy amatorów, kiedy to z pogardą oceniłem obraz namalowany przez kalekę. Jak to ważne – wiedzieć, kto i dlaczego maluje i dopiero wtedy oceniać obrazy niewidomej pani Budzyn-Nowakowej, czy oceniać malarzski dorobek Alfreda Długosza, który umierając, ucałował mnie i powiedział: „Panie, ja miałem szczęśliwe życie. Byłem artystą!”. Miał wtedy 97 lat.

Ważna była lekcja Długosza, uświadomiła, jak wiele czynników składa się na emocjonalny odbiór sztuki. Nauczyłem się cenić, podziwiać dzieła stworzone jakby na przekór dyspozycjom. Ale gdy patrzę na dzieła sztuki, w muzeach, galeriach poruszają mnie doznania estetyczne, interesują swą materią obrazy, a nie to, kogo przedstawiają, kim jest pan po lewej czy prawej stronie, z jakiego rodu pochodzi księżniczka. Nie lubiłem komentarzy w muzeach, przeszkadzały mi, tworzyłem na własny użytek hierarchię wartości, swoje muzeum wyobraźni. Ale zajmując się twórczością nieprofesjonalną, natrafiłem na zjawisko fascynujące – sztukę surową, nieokrzesaną, spontaniczną. *Art Brut*. Na sztukę, którą poznałem w paryskiej kolekcji Jeana Dubuffeta. Działającej swą formą, a przy tym związaną z osobowością twórcy. Miałem szczęście, poznałem w resorcie kultury Zofię Bisiak, która zajmowała się animacją sztuki, ruchem amatorskim. Do dziś jest dla mnie kimś bliskim, przyjacielem, kimś, kto czuje i myśli podobnie. Współpracuję z nią od lat. Zosia ma wielką wadę, nie oszczędza się, spala w pracy, robi to, co – zdawałoby się – skazane jest na przegraną. Wymyśliła, stworzyła Łucznicę, ośrodek niezwykle, w którym setki ludzi poznało warsztat ceramiczny, witraż, wikliniarstwo, zabawkę. Ale to, co było tak ważne, zostało przed paru laty zniszczone. Bezmyślnie? Nie, to by było za proste. Celowo, w imię nowoczesności, ale tak naprawdę z zawiści. Z tej okropnej polskiej choroby. Sam nie zrobię, więc zniszczę, co jest, co było. Tak więc nowa pani dyrektor w resorcie kultury wyrzuciła wszystkich pracowników Centrum Animacji Kultury, w Węgorzewie pozbyto się dyrektor Barbary Chłudzińskiej, która stworzyła regionalne muzeum o międzynarodowej renomie, w Myślenicach – Jana Koczwały. Ludzi, którym powinno się pomnik postawić. Wyrzucano Trelińskiego, twórcę wielkich przedstawień, który podobnie jak przed laty Bohdan Wodiczko nadał operze warszawskiej światową rangę. Niech działa wszędzie, byle nie tu. Wodickę zresztą też wyrzucano, miernoty nie tolerują talentów. A dzieje się to w kra-

ju, w którym od lat niszczone jest inteligencja (Katyń, okupacja niemiecka, Powstanie, sowietyzacja).

Ale wróćmy do współpracy z Zosią. Pomagałem jej w organizacji Triennale Plastyki Nieprofesjonalnej, gigantycznej imprezie, możliwej dzięki zaangażowaniu wielu wspaniałych ludzi, instruktorów plastycznych. Obejrzelśmy przy każdej edycji Triennale ok. 20-25 tysięcy prac. To był prawdziwy, solidny przegląd, a finałowe wystawy mogły zadziwić najbardziej kompetentnych znawców sztuki. Dyrektorka galerii „Awangarda” we Wrocławiu przypłaciła to dymisją. Środowisko profesjonalistów poczuło się zagrożone! Ale artyści przychodzili w nocy oglądać podświetloną od środka wystawę, ponieważ w dzień się krępowali. Taki to nasz świat.

Triennale było wydarzeniem. Zwracało uwagę na ludzi, dawało im szansę, satysfakcję. Po nim zrobiłem jeszcze kilka wystaw, ważona była jeszcze jedna w Rouen, we Francji. Organizatorzy zwrócili się do mnie prosząc o przywiezienie ekspozycji twórców nieprofesjonalnych. Miasto co rok przygotowuje wystawy, pokazy, imprezy teatralne, na które przyjeżdża z Francji (ale też i innych krajów) kilka tysięcy niepełnosprawnych. Ujęło mnie to, że jest to naprawdę impreza społeczna, organizowana przez miejscową inteligencję. Ordynator szpitala był na przykład kierowcą ciężarówki, którą przysłali po eksponaty, a kiedy w ciągu jednej nocy montowałem wystawę, pomagali mi, przygotowując ramy do obrazów czy ustawiając rzeźby – lekarze, adwokaci. Polska była honorowym gościem festiwalu, a więc nasza wystawa odbyła się w najważniejszej sali, z której okien widziałem słynną katedrę, tak często malowaną przez Claude’a Moneta. Wszyscy w Polsce, gdy mówiłem o wystawie, wypożyczali chętnie najlepsze dzieła. Leszek Macak, świetny człowiek, kolekcjoner i propagator sztuki naiwnej, sam przywiózł eksponaty z Krakowa. Przyjechał dosłownie przywalony eksponatami, które upchnął w samochodzie. A przecież taka jazda to spory koszt... W niby-socjalistycznym kraju inicjatywa obywatelska wydała mi się czymś pięknym, wyjątkowym. Rozumiało to wielu ludzi, tylko dyrektor warszawskiego muzeum etnograficznego p. Suliga zapytał – a co ja będę z tego miał, wprowadzając w konsternację organizatorów. Jednak go zaprosili. Zaimponowali mi, miasto (prześliczne) żyło imprezami. Wózki z niepełnosprawnymi jeździły po chodnikach, ludzie się serdecznie opiekowali gośćmi. Z szacunkiem, ciepłem.

Zosia miała ciekawe pomysły: zafundowała grupie instruktorów plastycznych tygodniowe zajęcia z psychoterapeutami, a więc poszerzenie wiedzy nie tylko o świecie, ale i sobie samych. Prowadzili je Wojciech Eichelberger i Jacek Santorski, sami ucząc się wiele w kontakcie z ludźmi szczególnie uwrażliwionymi na sztukę. Ja też brałem udział w zajęciach i chyba nigdy nie dowiedziałem się tylu rzeczy o sobie jak wówczas. Przeżywałem w tym czasie gorzko starzenie się: niczego nie zrobiłem, jestem na aucie, nikt mnie nie kocha,

siły już nie te itp. Od razu znalazłem w zespole przeciwwagę – nauczyciel tańca z Akademii Teatralnej. Pyszałkowaty, zarozumiały. Nie znosił mnie, więc sprowokował do tego, że boksowaliśmy się, stojąc na jednej nodze na belce podniesionej nad podłogę. No i trzy razy go z tej belki zwałem, przy ogólnej radości. Wszyscy mi kibicowali. Zresztą nie tylko wtedy okazali mi swą sympatię. Zbliżyliśmy się na zajęciach do siebie, nawet po latach spotkana na lotnisku koleżanka podbiegła, ucałowaliśmy się serdecznie, jakby złączeni długą przyjaźnią.

W programie zajęć ważna była dla mnie, ale też dla dziewczyny po ciężkich zabiegach leczniczych, walka. Leżeliśmy na podłodze, sześć osób miało cię przytrzymać (ale nie za przeguby), a ty miałaś się oswobodzić. Każdy, komu się wyrwał, odpadał. Kobieta, która nie wiedziała, co jej jest, co grozi, bo nie umiano tego ustalić, walczyła nadzwyczajnie, na końcu z asystentką, wysportowaną, silną. Po półgodzinie Eichelberger przerwał walkę, uznał remis. Dla niej to było zwycięstwo. Nigdy by nie przypuszczała, że ma taką siłę, taką moc. Ja też bym nie sądził, że się wyrwę, pięć dziewczyn szybko zwałem, została asystentka, dżudoczka. Nie wiem jak, raczej siłą woli niż mięśni wstałem razem z nią, wczepioną we mnie, i rzuciłem ją na podłogę. To była dla mnie lekcja tego, co można, kiedy się myśli, że już nic nie można.

Ciekawe było krążenie po sali – idziesz, jak chcesz, na gwizdek masz zatrzymać się w ułamku sekundy, zamrzeć w geście. A wtedy ciebie oceniano z zewnątrz i sam analizowałeś swój wygląd, pozę, gest. Jak to, dziwiłem się, to ja mam zawsze nerwowo zaciśnięte palce, jeśli nie rąk, to nóg? Artyści studiują pozę modela, wybierają u osoby portretowanej taką, a nie inną, by był „sobą”, a tu się okazuje, że każdy gest jest twój, każdy ciebie charakteryzuje! To ćwiczenie też mnie czegoś nauczyło. Patrzenia. Widzenia. Zresztą inne też temu służyły, pomagały zobaczyć czy usłyszeć to, czego się zazwyczaj nie widzi i nie słyszy. Leżysz w trawie, oczy zamknięte, cisza. Powoli zaczynasz w niej słyszeć szelest trawy, szurania, ruchy, ujawnia się cały utajony świat łąki. Z dala dochodzą dźwięki jadącego wozu, szczekanie psów. Z każdą minutą słyszysz więcej, dalej...

Różne ćwiczenia były ważne, także krążenie po sali z zamkniętymi oczami, kiedy chcesz zetknąć się z kimś, kto cię zafrapował, kogo polubiłeś. Maria... pomyślałem, i już po chwili czułem jej ręce, ciepło ciała. Maria, cudowna, mądra, dobra. To też dar, który dostałem. Teraz ma męża, nazywa się Grażyńska, ma z nim dwie urocze córki.

Z Zosią zrobiliśmy ważną, piękną wystawę w Radomiu *Talent, pasja, intuicja*. Prace z niej znalazły się we wspomnianej już przeze mnie książce *Sztuka zwana naiwną*. Po 20 latach muzeum w Radomiu wraz z warszawskim Muzeum Etnograficznym urządziło powtórke wystawy z dodatkiem prac artystów odkrytych

później. Słowem jednak nie wspomniano kto, kiedy „odkrywał” tę sztukę. Na szczęście powiedział o tym, już po oficjalnym otwarciu, dyrektor radomskiego muzeum Janusz Pulnar. Ważna postać w naszej kulturze, człowiek, dzięki któremu w Radomiu pokazano kilka fantastycznych wystaw ze zbiorów lwowskich.

W Instytucie Sztuki czuję się coraz bardziej obco. Emeryt. Portier, kiedy przyszedłem, zapytał: a pan do kogo? Do siebie, mruknąłem, ale to już nie było moje miejsce. Coraz to nowi byli pracownicy, jeden nie znał drugiego. Dawniej ideę Akademii Sztuk, związku dyscyplin, realizował w praktyce bufet. Tam, przy kawie rozmawialiśmy ze sobą, ci od dawnej sztuki i ci z teatru, muzyki. Wiedziałem więc, co i gdzie robią. Ale dyrekcja bufet zlikwidowała i w ten sposób idea Akademii Sztuk – zakończyła swój żywot. Wspólny jest tylko budynek. Po kilku latach dyrekcja postanowiła, że wyrzuci archiwum z poddasza, no i dyrektor zlecił to wicedyrektorowi, ten kierownikowi administracyjnemu, ten podwładnemu. Co tam papierki! – pomyślał, wszystko co było w szafach, na stołach, wrzucono na śmieciarkę, wywieziono na zwłokę. Przepadło całe archiwum Janusza Boguckiego, dokumentacja ważnego epizodu powojennej kultury poszła do śmietnika.

Biedna Nina Smolarz, partnerka Janusza, przez wiele dni grzęzła w śmieciach papierni w Jeziornie, wypatrując skrzyń, które nieopatrznie powierzyła Instytutowi. Mnie ta akcja „uwolniła” od zbieranego przez miesiące stosu dokumentów, wypisów, kserokopii, przygotowywanych do książki *Epizod zakopiański w sztuce polskiej końca XIX i początku XX wieku*. Cieszyłem się, że jak będę miał czas, napiszę o tym epizodzie, sięgając do związanych z nim mitów. Właśnie one mnie frapowały, to jak tworzono obraz górala – greckiego herosa, i jak idealizacja góralszczyzny wiodła do sytuacji znanych z podboju Indian przez Amerykanów. Pióropusze i wódka. Ale już nie napiszę, wszystko zniszczono! Dobrze, że chociaż prof. Jacek Woźniakowski, choć w części, to uczynił. A dlaczego ja przez lata tego nie zrobiłem? Najłatwiej powiedzieć, nie czułem się na siłach, inne sprawy wydawały się pilniejsze. To prawda, ale zaważyła też na tym decyzja prof. Starzyńskiego, który podobny temat (tyle, że ograniczony do architektury) dał Andrzejowi Olszewskiemu. No i on to napisał, zresztą świetnie. Powtarzać? Straciłam ochotę, a kiedy już ją odzyskałam materiału nie było... Skandal? Pewnie...

Sporo czasu zajmowała mi redakcja. Przygotowywałem numery przy dużej pomocy Zbyszka Benedyktowicza i ze świadomością tego, że powinienem mu pismo przekazać. Wiedząc, że będzie inne. To było dotąd naprawdę moje pismo, takie, z którego mogłem być zadowolony, ale teraz kiedy po 48 latach mojego redagowania, Zbyszek je przejmuje, stało się wyrazem jego ekspresji, jego upodobań. Ja chciałem mieć pismo żywe, nieco publicystyczne, sygnalizujące nowe zjawiska, na-

tomiast Zbyszek tworzy pismo naukowe, w którym każdy numer ma wyraźną tematykę. Są to w istocie książki, precyzyjnie zbudowane. Mądre, ciekawe. Jeśli łatwo się rozstałem z redagowaniem to dzięki postawie Zbyszka, redaktora i przyjaciela, człowieka wielkiej prawości, lojalnego i serdecznego.

Przemiany w kraju następowały szybko, ale sam po sobie widziałem, jak trudno jest wyzwolić się z pęt myślenia, ukształtowanego przez propagandę. Byłem pewny, że się jej nie dałem, tymczasem już rozmowy z Janką Ludawską w Sztokholmie pokazały, że jednak oddziaływały na moje oceny. Bliskie mi się stało środowisko KOR-u. Dzięki Ewie Korulskiej, mojej najserdeczniejszej współpracownicy, poznałem Anielę Steinsbergową, osobę absolutnie niezwykłą, adwokatkę, ledwie już chodzącą, która jeździła do Radomia na procesy robotników. Starłem się pomóc Stefanowi Starczewskiemu, którego znałem z resortu kultury. Powierzył mi jakieś zadanie, sprawy edukacji plastycznej, później, gdy powstał rząd Tadeusza Mazowieckiego, a on został wiceministrem kultury funkcję doradcy. Stefan jest mi bardzo bliski i drogi, nie zmienia się, uczciwy, mądry, bezkompromisowy. Ale to, co w nim cenię, nie ułatwia życia. Zwłaszcza politycznego. Idealny minister edukacji, kultury..., ale tego koledzy z Unii Wolności nie zauważyli.

W ministerstwie rządziła piękna i dumna caryca Izabella Cywińska. Walily się dawne struktury, łatwiej było niszczyć, niż budować. Cywińska lansowała koncepcję pomagania tym, którzy coś robili, a odebraniu środków instytucjom zajmującym się kulturą z urzędu. Reforma uderzyła w placówki kulturalne, nawet te, które prowadziły także sensowne działania. Kultura wymaga wsparcia, a tego zabrakło. Nie umiałem bronić sieci doradztwa i animacji. Zniknęły domy kultury w pasie polsko-niemieckim, pozbawione zostały wsparcia placówki wiejskie, rozproszono znakomite zespoły ludzi, fachowców. Kiedy Cywińska przestała być ministrem stworzyła Fundację Kultury. Środki pochodziły z budżetu państwa. Fundacja miała szansę działania dzięki pomocy kompetentnych ludzi. Z radością przyjąłem propozycję współpracy. Fundacja ogłosiła ogólnopolski konkurs na „Małe Ojczyzny”. Powołano mnie do grona jurorów i odtąd przez jedenaście lat (do 2005 r.) jeździliśmy po Polsce, oceniając nadesłane projekty. Nazwę „Małe Ojczyzny”, wylansowała Cywińska, nie przypuszczając nawet jaką karierę zrobi to pojęcie. Była wspaniała, z pomysłami, ideami. Ale zrobiła błąd, sprawy finansowe powierzyła, zdawałoby się najbardziej kompetentnym osobom. Ale okazało się, że inwestycje są chybione, kapitał zakładowy topnieje. Katastrofa. Byłem członkiem Rady Fundacji i wielbiąc Cywińską głosowałem wraz z kolegami przeciw niej. Prezes ponosi bowiem konsekwencje podejmowanych decyzji. Jednak po jej odejściu nie była to już ta sama Fundacja. Wycofałem się więc z niej. Ste-

fan Starczewski wprawdzie pozostał, ale prowadzone przez niego projekty coraz bardziej ograniczono. Ostał się jednak konkurs „Małych Ojczyzn”. Dla mnie znakomita szansa zobaczenia kraju. Co dwa lata jeździliśmy do różnych miejsc. Lubilem te podróże, godziny spędzone z ciekawymi, wybitnymi ludźmi. Każdy prezentował inne stanowisko, jedni zwracali uwagę na projekty ważne dla środowiska, inni na oryginalne, śmiałe koncepcje. Wojciech Nocuń zachwycał mnie sprawnością działania, Andrzej Kaleta konsekwencją w ocenach. Artur Kostarczyk – wiedzą o „wszystkim”, wyobraźnią, Michał Bogusławski, autor dokumentacji filmowej konkursu i wielu filmów. Rzetelne były oceny socjologa Barbary Weber. Ale szczególnie bliski i drogi stał się dla mnie Ireneusz Szymczak, wysoki, schorowany, chudy mężczyzna o promiennej twarzy i oczach dziecka. Od razu się czuło, że to człowiek dobry, serdeczny, gotów pomagać innym. W kręgu jego oddziaływania uformował się Marek Kotański.

Konkurs pozwolił mi poznać ciekawe miejsca, znakomitych ludzi. Polskę, do której wciąż przyjeżdżają młodzi z całego świata. Miejsca, w których coś się dzieje, powstają cudowne rzeczy. Zaprzeczenie obrazu, w którym nudzi nas telewizja. Już tworzą inne, normalne. Nie te z telewizyjnych dzienników, napięte nienawiścią, patologiczną złością. Dwie Polski, dwa światy. Moje szczęście, że dzięki konkursowi mogłem zobaczyć to, co jest w naszym kraju piękne. Dziwnych i cudownych ludzi – jak pani Zofia Langowska z Rzepczyna, która sama (mówi, że z pomocą Matki Boskiej) odbudowała pałac, stworzyła w nim szkołę artystyczną dla młodzieży; jak fizyk (z wykształcenia) Tomasz Pietrusiewicz, który z zespołem teatru NN zajął się w Lublinie pamięcią umarłego miasta żydowskiego. Odbudował Bramę Grodzką, a w niej urządził nowoczesne muzeum z makietą żydowskiej dzielnicy (40 proc. miasta), z tysiącem fotografii, z nagraniami wspomnień ludzi, którzy ocalili. A Krzysztof Czyżewski, fantasta, który – jak go znam – rzeczywiście wskrzesi w Krasnymstawie nad granicą litewską dwór Miłosza. Czyżewski jest ważną postacią Pogranicza, znany w Europie, zwłaszcza tej środkowej i wschodniej. Dwór na Wysokiej – piękne miejsce, nieopodal Rabki. XVI-XVII-wieczny budynek odbudowali państwo Pilchowie. On jest lutnistą, muzykiem. Stworzył ośrodek kultury dworskiej, muzyka renesansu, powołał zespół lutnistów, chorału gregoriańskiego. W cudownym krajobrazie, z widokiem na Tatry powstało miejsce niezwykle, do którego przyjeżdżają zespoły z zagranicy, muzykolodzy, młodzież. Ale wieś ma swoją kulturę, w strażackiej remizie. Dwa są tylko w Polsce miejsca styku kultury wysokiej i niskiej – dzieci, które Pilch uczy muzyki, kościół, w którym czasem śpiewa młodzież uczona w sztuce chorału. Kiedyś na Wysokiej (w latach rabacji) chłopci rżnęli pana, teraz jest tylko dystans kulturowy, dwór ma swoją kulturę, a wieś swoją, popularną, serialową.

Ale w Nadrzeczu k. Biłgoraja aktor Stefan Szmidt stworzył ośrodek łączący w mądry sposób kulturę wysoką z niską. Na przedstawienia teatralne przychodzi ludność z okolicznych wsi, w pawilonie wystawowym można zobaczyć obrazy „czytelne” a zarazem piękne. Występują wielcy aktorzy, z Norwidem – Teresa Budzisz-Krzyżanowska (wielki sukces), entuzjastycznie przyjęty Wiesław Ochman. Szmidt, gdy przyjechał, zaczął od zbudowania przy wlocie do wsi dużej, pięknej kapliczki. Stał się swoim. Wieś czuje się związana z jego działalnością i tylko tam można to zauważyć tak wyraziście. Dla mnie Nadrzecze to także najpiękniejsze, jakie znam, stroje ludowe – biłgorajskie.

„Małe Ojczyzny” to zastrzyk optymizmu, kontakt ze wspaniałymi ludźmi, zobaczenie Polski od podszewki. Wszędzie chciałem być dłużej, zegnałem się jak z przyjaciółmi i kiedy mogę, wracam do nich. Oni zmieniają kraj, tworzą enklawy, gdzie dzieje się wiele dobrego. Ratuja małe, wiejskie szkoły, tworzą lokalne elity. Te elity przechowują tradycje, krzewią dobro, są solą naszej ziemi. W nich widzę szansę rozwoju kulturalnego kraju.

O Ojczyznach napisałem książkę, o programach, które mi się wydały najciekawsze, ale też o nieudanych, niespełnionych. Książka *Miejsca i ludzie* ukazała się dzięki pomocy Macieja Formanowicza, z którym wiele razy rozmawialiśmy o potrzebie prywatnego mecenatu. Nie tylko sponsoringu, czyli umowy „coś za coś”, ale świadomego wspierania ważnych przedsięwzięć, tak jak to czyni choćby pan Janusz Palikot, organizator Roku Gombrowiczowskiego, opiekujący się fundacją Kresy 2000. Promocję książki zorganizowaliśmy więc w Klubie Biznesu. „Bogaczy” było sporo. Palikot, Formanowicz mówili mądrze, wskazywali na możliwości mecenatu. Ale odzewu nie było. To jeszcze nie Stany Zjednoczone, gdzie wielkie szpitale, muzea, opery istnieją dzięki mecenasowi. Formanowicz należy do wyjątków, chciałbym więc powiedzieć, jak go poznałem, jak stał się moim przyjacielem. On i jego żona Anna.

Miałem właśnie promocję książki *Polska sztuka ludowa*. Do Pałacu Ujazdowskiego przyszło wiele osób, ponad 300, zabrakło krzeseł. Z Wiednia przyjechała Oleńka z Anią, która biegała dokoła sali, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Popatrz, powiedziała Ola, jak lubią twojego dziadka. Mała zastanowiła się – a co ty robisz? Piszę książki. Drukujesz? Nie... Pisziesz na komputerze? Nie... Wymyślasz? Nie... Straciła zainteresowanie, więc dodałem, że piszę to, czego uczę studentów. Och! – ucieszyła się, to jesteś nauczycielem! Odzyskałem odrobinę szacunku. Zabraliśmy do domu część kwiatów, resztę przywieziono nazajutrz. Zaraz potem znów zadzwieczał dzwonek. Zapomnieli czegoś, pomyślałem, ale za drzwiami stała dama. Nie dziewczyna, nie kobieta – dama. Z pudłem w ręku. Dama uśmiechnęła się jak gwiazda filmowa, tyle że natural-

nie. Byłem speszony. Postawiła pudło na stole, otworzyła – trzy rzeźby Śledzia! Jedyne żyjącego rzeźbiarza, którego lubię. Niech Pan jedną wybierze, powiedziała, to zamiast kwiatów... O rzeźbach Śledzia marzyłem, spoglądałem na nie, brałem do rąk, każda była piękna... Dama opowiadała, że mają z mężem fundację. Chcieliby wybudować koło skansenu, który już postavili, dom spokojnej starości dla twórców ludowych. Liczy, że im pomogę. Szlachetna istota, jak z pozytywistycznej powieści... A ja patrzę na rzeźby Śledzia – która najładniejsza? Wszystkie piękne. Tłumaczę, że na wsi, gdzie rodziny są trójpokoleniowe, ludowi artyści przeważnie nie są sami, i szczęścia im nie dadzą nawet komfortowe warunki z dala od ich środowiska, krajobrazu. Skończyła się rozmowa. Dama widząc moją rozterkę, roześmiała się i zostawiła mi dwie rzeźby. Tak się zaczęła przyjaźń, potem poznałem męża, dużego, zwalistego, pełnego uroku mężczyznę – przedsiębiorcę.

Pomyślałem – fabrykant, czyli wyzyskiwacz. Człowiek był ciekawy, wrażliwy, na moje naiwne i głupawe pytania rozsądnie odpowiadał, wyjaśniając różnicę między kimś, kto zdobywa miliony, korzystając z informacji na styku biznesu i polityki, a przedsiębiorcą, który tworzy, zdany tylko na siebie i ponoszący ryzyko swych decyzji.

Pan Maciej Formanowicz, technolog drewna w fabryce mebli, gdy fabryka zaczęła upadać, wykupił ją... no i teraz ma fabryki w Polsce, na Ukrainie, w Rosji. W domu, co mnie do końca zjednało, Formanowiczowie mają z ludowych rzeźb tylko Śledzia, obok obrazy Boznańskiej, Ruszczyca, Fałata, Tetmajera, Beksińskiego. Wybrane z kulturą, smakiem. No i piękny ogród. A w miejscu rodzinnym Pani Domu, w Budlewie nieopodal Brańska, obok parterowej rezydencji zbudowali prywatny skansen. Wzruszająca była jego inauguracja, pamiętam ją – wicher rwał płachty wielkiego namiotu, zapachy z grilla wirowały w powietrzu, balowały przynajmniej trzy setki gości z Warszawy, Ostrowi, Białegostoku, wielu w ludowych kostiumach (wypożyczonych z teatrów), bądź w ich fragmentach, kotylionach z kolorowymi wstążkami. Tylko miejscowi gospodarze mieli na sobie czarne garnitury. Wzruszyło mnie, gdy ksiądz poświęcił stodołę, w której pani Anna zorganizowała wystawę lnu. Wstęgę przecinała starowinka w chuście na głowie, matka Pani Domu, a obok stał ojciec gospodarza, Wielkopolanin. Taki to był wyraz szacunku dla rodziców, dla rodzinnych korzeni. Trafili mi się na stare lata przyjaciele. Rodzina, oni, córki, Magda i szczególnie mi bliska Marysia, jeszcze dziewczynka, jak Marynia. Pani Anna jest lekarzem. To taki anioł opiekuńczy. Mają z mężem fundację, zajmują się w Ostrowi Mazowieckiej młodzieżą, powołali grupę kilkudziesięciu stypendystów, wspomaganych finansowo, uczestniczących w spotkaniach z wybitnymi ludźmi, zwłaszcza z księż-

mi. Nigdy w życiu nie słyszałem tak mądrych homilii jak księdza Romana Tkacza, tak pięknie powiedzianych. Przed dwoma laty stypendyści w ramach programu *Śladami Leonarda* pojechali do Włoch. Papieżowi zawieźli album z osobistymi zwierzeniami – jak się każdy z nich podnosił z upadku. Teraz przygotowują się do pielgrzymki w Santiago de Compostella. Sto siedemdziesiąt kilometrów samotnej wędrówki w cudownym pejzażu, który, tak jak widoki z gór, wprowadza w stan medytacyjny. Modlitwa, pejzaż, muzyka – tworzą to doświadczenie metafizyczne, które tak silnie odczuwamy w gotyckich katedrach.

Formanowicz jest mądry i szlachetny. Na jego przykładzie widzę, jak ważne jest silne zaplecze wiary. Jak chroni osobowość człowieka, trzyma ją w ryzach, ratuje przed upadkami.

Wiara... Dzieci wierzą ufnie, dorośli tę ufność zatracili. Mamy wątpliwości, to naturalne, zdumiewa mnie, kiedy ktoś mówi, że ich nie ma. Zapytany mówię, że nie wierzę, ale w trudnych życiowych chwilach, zwłaszcza lęku o najbliższych, chciałbym, żeby ten Bóg był. Ktoś, coś, nierozpoznawalne, w innym wymiarze. Ksiądz Janusz Pasierb, którego bardzo lubiłem, żartował, że mam wrażliwość religijną. Naprawdę, nie wierysz? – dziwił się. Naprawdę. Ale chciałbym, by Pan Bóg (jeśli jest) wierzył we mnie. To go trochę uspokoiło. Miał oczywiście rację, jestem przecież zakorzeniony w duchowości chrześcijańskiej, zachowuję się jak człowiek, któremu niedana jest łaska wiary. Zresztą, tak jak wielu ludzi w relacjach z Niepojętym nie chcę pośrednictwa księży, obrzędów. Ale gdyby mnie znowu mieli wysłać na Syberię, i to z jedną książką, pewnie wziąłbym Ewangelię. Ważne są dla mnie stany skupienia, modlitewne, w mroku kościoła, w górach, wieczornych pejzażach, przy muzyce Bacha, Haydna, Mozarta. Jeśli jest Bóg, to w fugach Bacha... także w muzyce, w Mozarcie.

Zakorzeniony jestem w naszym języku, kulturze, krajobrazie. Gdybym żył w Azji, Meksyku czy Indii, nawet moja niewiara byłaby inna.

Moja mama była ateistką, ale przy trumnie mego ojca prosiła, bym jej pomógł odmówić Ojcie Nasz. Boga wzywamy bowiem zwłaszcza w obliczu śmierci.

W naszej religii ważne jest przeświadczenie o opiekuńczości. Taka jest Matka Boska, takie modlitwy. Bóg, nawet jeśli jest to tylko konstrukcja człowieka, daje wiarę w życie pozagrobowe. Godzi z losem. Pomaga żyć.

Ja, nie wierząc, ulegam jednak utajonej wierze, nieraz toczę dialog z Bogiem. Podejrzewam, że mi pomaga. Jak bowiem objaśnić odnalezienie w czasie wojny Gusti? Telepatia... fale? Być może, ale dziwne to było i piękne. A strach, który miałem, widząc trzy katastrofy samolotów. Można zapewne znaleźć przesłanki tych katastrof, ale po trzeciej bałem się patrzeć na samolot, aby nie spadł.

Pierwszy zestrzeliła artyleria we wrześniu 39 roku, drugi rozbił się w czasie wojny, trzeci w Karolinie. Latał nad drzewami, w niedzielne popołudnie. Pilot chciał imponować swej dziewczynie w „Mazowszu”. Hałasował. Coś pomyślałem źle. No i spadł. Czułem też swoją winę kilka lat temu. Wracalem z Budapesztu. Do teczki włożyłem butelkę wody. Obok leżały dokumenty. No i woda zmoczyła dowód osobisty, paszport. Katastrofa. Na granicy miałem kłopoty. Przepuścili, ale trzeba było wyrobić nowy dokument. Urzędniczka zażądała wpisu z parafii, a tam okazało się, że był błąd. Kościelny wpisał Bronisław zamiast Bolesław, a ja zawsze używałem właśnie tego imienia. W domu mówiono – Bolek, jako że ojciec też był Aleksandrem i nazywano go Olek. We wszystkich dokumentach szkolnych, wojskowych, cywilnych, stempel w książkach był Aleksander Bolesław, ale urzędniczki to nie przekonało. Odesłała mnie do pani dyrektor w urzędzie miasta. Kilka razy z nią rozmawiałem, tłumaczyłem, że to błąd kościelnego, ale była nieugięta. Mówiłem, że te imiona to woła Bolesława Prusa... Wzruszyła ramionami. Wreszcie zgodziła się, bym miał tylko jedno, pierwsze imię. Musiał to zatwierdzić prezydent Warszawy. Wściekły, umęczony, westchnąłem: Boże, że też na takie... nie ma kary. Po tygodniu wróciłem po nowy dokument. Wchodzę do gabinetu, a ona skulona, postarzała, biedna, do rany przyłożyła. Co się stało? Spojrzała na mnie ze smutkiem, kiedy wróciła po naszej rozmowie do domu, okazało się, że telewizor wybuchł, cały pokój zniszczony, osmalony dymem. Zrobiło mi się jej żal. Boże – pomyślałem, chyba tym razem przesadziłem...

Sumuję teraz moje życie. Wspominam ludzi, ilu ich przewinęło się w tym czasie, ile zdarzeń. Jak silne są wczesne doznania. Wielkie, dramatyczne – zamordowano prezydenta Narutowicza. To był dla dziecka wstrząs. Jeśli dziś nienawidzę Giertycha, endecji – to zapewne nie tylko w wyniku przemyśleń. Kiedyś siedziałem w kawiarni Ujazdowska, kręcono film o Narutowiczu, *Śmierć Prezydenta*. Usłyszałem werble, alejami posuwał się kondukt. Wybiegłem, wsunąłem się w tłum statystów, wzruszony, ze łzami w oczach, tak jakby to była trumna z moim ojcem. Przeżycia z dzieciństwa wróciły. Są we mnie ciągle i pewnie w moich wyborach.

A więc niechęć do prawicy, w efekcie wstąpienia do partii, PPR-u. A widok zrzucanej ze schodów skrwawionej asystentki profesora Czarnowskiego, czy nie zaważył na tym, że zdawałem maturę na ławkach „żydowskich”? Bicie Żydów... Tłum studentów w „bratniackich” czapkach walący kijami w szyby żydowskich sklepów, przejmujące aj-waj! Płacz kobiet – czy to nie miało wpływu na wybory emocjonalne, nawet na to, że wyprowadziłem się z domu, by zamieszkać na Śliskiej, w dzielnicy żydowskiej. Utożsamianie się z bitymi, krzywdzonymi, „innymi” zaważyło na poglądach, wyborach, także intelektualnych.

Dochodzenie do „prawdy”, rewizje wyjściowych, emocjonalnych postaw to już etapy późniejszych doświadczeń życiowych wyborów. Także w ocenie najbliższych, najdroższych mi ludzi, matki, ojca. Mama... Od początku czułem jej ból, krzywdę. Była inna, Francuzka początkowo w ogóle niemówiąca po polsku, wychowana w kulcie Oświecenia. Encyklopedystów, w środowisku naukowym – jakże innym od tradycyjnej, szlacheckiej rodziny mego ojca. Do tego tracąca wzrok, bezradna, nieszczęsna, zdana tylko na czułą troskę ojca. Obca w rodzinie... obca. A więc i ta rodzina była dla mnie obca. I ojciec mniej od niej kochany... To mnie teraz najmocniej boli, gdy myślę o czasie minionym, nie dałem mu bowiem tego uczucia, tej miłości, na jaką czekał. Był cudowny, naprawdę wspaniały, ale ja tego nie umiałem dostrzec; widząc krzywdę matki, jej poświęcałem całą uwagę. Lekceważyłem jego dobroć, śmiałem się z tego, że jest tak przez wszystkich lubiany, że każdy, kto go spotyka, rozkłada ręce, uśmiecha się – kochany Oleś! Kpiłem – głupia dobroć! Do wszystkich. A teraz mi gorzko, tak bym chciał mu dać to, czego nie dałem. Odkryłem go za późno...

Bożenka Dudko, moja droga przyjaciółka, przywiozła mi z Ermitażu pocztówkę – Rembrandta *Powrót syna marnotrawnego*. Postawiłem ją na biurku, obok zdjęcia Oleńki, patrzę na tego Rembrandta i jest dla mnie coraz bardziej ważny. Konieczny. Zawsze sądziłem, że jest to obraz niezwykle, najważniejszy, jak w muzyce IX Symfonia Beethovena, ale teraz patrzę na niego jak na mój los. To ja wracam, syn marnotrawny, ale już moich pleców nie obejmą dłonie ojca. Stulecie rzeczy nie załatwiłem w życiu jak należy, ale ta ciąża mi szczególnie. Nie dałem ojcu miłości, na jaką zasługiwał, na którą czekał... Jemu, do którego – jak to teraz widzę – staję się podobny... Jak to powiedział ksiądz Twardowski? „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...” A ja nie zdążyłem... już nie powiem ojcu, jak mi się stał bliski. „Pocziwa dobroć” – jakże głupi byłem, jak naiwny. A teraz już za późno...

Gorzko myśleć. Oceniać, co źle, nie tak. Pisanie jest autoterapią. Spowiedzią niewierzącego. Spowiedzią, w której jestem słuchany, i to z uwagą. I pouczony – nie zwracaj głowy, twoje bóle, kłopoty, wspomnienia nie mogą przesłonić prawdy najważniejszej – jesteś w istocie człowiekiem szczęśliwym. Mogą mi zazdrościć. Przeżyć Syberię, wojnę, front – robić tylko to, co sprawia przyjemność, z ludźmi, których lubię, cenię, którzy wciąż są obok mnie. Szczęście... To pogodny smutek. Szczęście to coś innego niż chwilowy wybuch radości, w nim jest jakaś rozważa, poczucie czasu. A radość to chwila. Cudowna, ogarniająca zmysły. Moje szczęście to brak nieszczęść. Wszyscy bliscy zdrowi, Leszek ma dobrą pracę, Ola czuwa nad domem, Marynia zajęta filmem, Ania – rośnie, dorostaje, wciąż pełna uroku. Ja jeżdżę, jak do pracy, do mo-

jej kawiarenki Astra w Domu Polonii na Krakowskim Przedmieściu. Piszę „moje”, ponieważ jest to w istocie też mój dom, miejsce moich spotkań z ludźmi. Wiele lat pracuję, piszę, redaguję w kawiarniach. Ile już ich było? Ali Baba, U Literatów, Na Rozdrożu, Ujazdowska, Bombonierka, Czarownica, teraz Astra.

Najładniejsza, najsympatyczniejsza. Są w niej śliczne dziewczyny i co najważniejsze Grażyna, którą jakby na przekór jej delikatności nazwano Śmiałką. Rezerwuje mi stolik, muszę więc być punktualny. A na stoliku, gdy się pojawia, leży już gazeta, a po chwili café latte. Tak się dzień zaczyna. Przeglądam pocztę, czytam – i piszę. Jest mi dobrze, to także małe szczęście. Na 87. urodziny.

Źle się czuję. Tyle podłości, tyle obrzydliwych ludzi. Już same twarze mówią o nich. Conrad miał rację – po pięćdziesiątce odpowiadamy za swoją twarz. Ale dlaczego „ludzie” tego nie widzą? Dlaczego wstrętnych wybierają w czasie wyborów? Żartowałem kiedyś, że należałoby zacząć wybory od selekcji fotografii kandydatów. Mądrzy, doświadczeni psychologowie od razu

by mogli ocenić – ten tak, drugi nie – zboczeniec, trzeci – nie, ile w nim zawiści itd. A tych, którzy by się ostali, poprosiłbym do psychiatry. Znów część by odpadła. A na pozostałych – proszę – głosujcie! Może byłoby lepiej... Czy na pewno?

Pierwszy sejm, który wirtualnie chciałem wysadzić w powietrze, działał na początku lat 50. Wielu posłów znałem. Sukinsyn, bydlę, zbrodniarz, łotr. No dobrze, myślałem, wysadzamy gmach w powietrze. Ale na miejsce ministra przyjdzie wiceminister, dyrektor, nie mniejszy skurwysyn... Zmartwiło mnie to. A jak jest dzisiaj? Czy drań nie wybiera drania na zastępcę?

Właśnie są wybory, do samorządów? Po raz pierwszy w życiu nie głosowałem. Nie mogłem wyjść z domu, nogi bolały, starość to i bezradność. Martwi, że jestem tylko obserwatorem. Widzę, jak kraj staje się ciemnogrodem. Wraca pamięć lat przedwojennych, ONR-u, kultu siły. Nie chcę takiego kraju, nie chcę. Gdybym był młody, pewnie wyjechałbym z niego. Tyle tu zła. A patriotyzm? Taki, że zło więcej boli w sobie, że to, co się dzieje, zawstydzia mnie. A jestem bezradny. Co robić?



Aleksander Jackowski, W kawiarni „Astra”, Warszawa 2007. Fot. Tomasz Szerszeń